WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 37 (51)
Rok II
16 IX 1962 r.

Jan Grygiel

POLSKA JESIEŃ

Rozkołysana tańcem srebrnych pajęczyn... Astrów podkute szczęściem oczy — melancholijnych świtów pora. W ciężarnych sadach odległy pomruk armat strąca dojrzałe owoce.

Rytm strudzonych stóp: na wschód — na wschód!! Chłodny błękit — przenośny dach uciekających — od horyzontu po horyzont pęka pruty błyskawicami Junkersów. A nocami zimne oczy gwiazd tkwią wciąż wyżej i dalej...

Na noclegach poszumy pielgrzymiej nadziei najcichszej: (— Warszawa jeszcze trwa —). Świt znowu grzebał wiarę, nadzieję, miłość w dymiących lejach bomb. I tylko stygnąca w rowach broń śni niewczesny sen o sławie.

Pamiętam — była jesień...

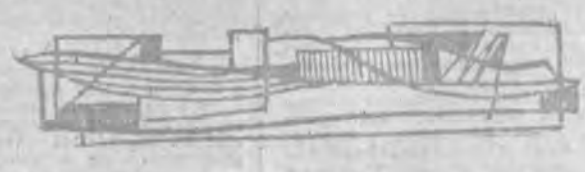

Ludmiła Pietruszkowa

* * *

WIESŁAWOWI KULIKOWSKIEMU

W kropli łzy
tańczy dziewczyna
odrzuconą dłonią
krawędź horyzontu
ku sobie nagina
drugą
zmurszały liść podaje

liść
kroplą krwi zakwita

uciekła przestraszona zostań
aż rozedrgana wiklina
wyciszy śmiech dziewczyny

Ten rok ma 275 dni

Już po raz drugi rozpoczyna się ten dziwny rok, który bez mała liczy o 100 dni mniej od kalendarzowego. Rozpoczyna się w połowie września, a jego Sylwester przypada na ostatni dzień czerwca. Ów rok został określony bardzo zobowiązującym terminem: nazywają go „Rokiem oświatowym".

Hasło: „Polska krajem ludzi kształcących się" właśnie teraz, przez organizowanie roku oświatowego staje się ogromnie powszechne, ujęte w obszerne lecz bardzo konkretne ramy. Jego realizacja, w efekcie długofalowej pracy, powinna przynieść rzeczywiste upowszechnienie oświaty i kultury. Miejsce zamieszkania: przysiółek czy miasteczko, wieś czy miasto nie powinny wówczas być decydującym momentem w zdobywaniu jak najszerszej wiedzy i wysokiego poziomu kulturalnego wszystkich członków naszego, nowego społeczeństwa. Przecież nasze warunki społeczno-ekonomiczne, nasza cywilizacja, jak nigdy dotąd ułatwiają wszystkim tym, którzy tego pragną, osiąganie jak najwszechstronniejszego wykształcenia i kultury osobistej. Mało, państwo jest zainteresowane w posiadaniu światłych obywateli o wysokim poziomie intelektualnym i kulturalnym.

Ale człowiek to już taka dziwna, z gruntu przekorna istota. Im więcej ma ułatwień i możliwości życiowych, rozleniwia się i bardziej jest skory do krytyki i szukania „dziury w całym" niż do osobistego zaangażowania w „naprawie Rzeczypospolitej", szczególnie tej powiatowej i wiejskiej, w której nie jeden ugór kulturalny czeka i niestety — tylko czeka, na zaoranie i uprawę.

Przed kilkoma dniami dyskutowaliśmy z zastępcą kierownika Wydziału Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie magistrem Józefem Kanikiem właśnie nad programem nowego roku oświatowego.

— Głównym kierunkiem działalności będzie ożywienie pracy kulturalnej i oświatowej szczególnie w środowiskach wiejskich i małych skupiskach robotniczych: z cennych doświadczeń wiejskich placówek kulturalnych powiatu kolbuszowskiego zamierzają skorzystać i wprowadzić u siebie powiaty brzozowski i dębicki, które w tej dziedzinie mają już pewne osiągnięcia oraz tarnobrzeski, leski, ustrzycki, niżański i strzyżowski.

— Możemy powiedzić — podkreśla mgr J. Kanik — że rok oświatowy 1962/63 powinien przynieść poważne ożywienie życia kulturalnego szczególnie na wsi. Natomiast warunkiem powodzenia może być wyłącznie współdziałanie wszystkich organizacji społecznych, młodzieżowych i stowarzyszeń twórczych z odpowiednimi ogniwami rad narodowych. Dotychczasowa praca w myśl egoistycznej zasady „każdy sobie rzepkę skrobie" nie mogła przynieść oczekiwanych rezultatów. Rozmienianie funduszy społecznych przeznaczonych na rozwój kultury i oświaty oraz wysiłków działaczy na drobne, również nie przyczyniło się do szerokiego upowszechnienia kultury i rozbicia marazmu tak charakterystycznego jeszcze dla wielu naszych małych ośrodków miejskich i wiejskich.

— W każdej wsi placówka kulturalna. I to nie tylko z nazwy. Obojętne, czy będzie nią świetlica, biblioteka z czytelnią czy dom kultury, musi się wylegitymować rzetelną pracą i popularnością w swym środowisku. Nie bez znaczenia będzie jej estetyczne urządzenie, bo przecież trudno mówić o upowszechnianiu kultury w walącej się ruderze, gdzie króluje zimno i niechlujstwo. Dlatego przyjmuje się zasadę, że gromadzkie rady muszą otoczyć placówki kulturalne taką samą troską jak szkoły.

Błędne byłoby mniemanie, że bazę do pracy kulturalno - oświatowej trzeba u nas stwarzać od podstaw. W naszym województwie istnieje już ponad 500 bibliotek gromadzkich i wiejskich, 167 kin nie licząc coraz częściej uruchamianych kin oświatowych i szkolnych oraz klubów — kawiarń tworzonych przez koła ZMW.

— W zasadzie więc baza jest. Gorzej z inicjatywą, pomysłowością i chęciami do społecznej pracy. Jednak doświadczenia ubiegłego roku oświatowego wykazały, że ożywienie życia kulturalnego wyzwala wiele inicjatywy i kształci bardzo zaangażowanych szermierzy oświaty.

Obecnie we wszystkich powiatach przygotowuje się szczegółowe plany pracy w roku oświatowym. Właściwie to już ostatni etap doszlifowywania programów, bo w ciągu dwóch ostatnich tygodni września w każdym miasteczku, gromadzie i wsi odbędzie się uroczysta inauguracja. Rozpoczęciem roku oświatowego w naszym województwie wyróżniony został, szczycący się już pewnymi osiągnięciami w upowszechnianiu kultury i oświaty powiat brzozowski.

Tak jak dotychczas ośrodkom wiejskim pospieszą z radą i pomocą w tej pracy placówki wojewódzkie, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna m. in. będzie pośredniczyła w organizowaniu spotkań znanych pisarzy i naukowców z czytelnikami. Innowacją będzie upowszechnianie literatury rolniczej przez spotkania ze specjalistami, a zarazem autorami publikacji fachowych.

Akces do pracy w roku oświatowym zgłosiła również Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej. Prelegenci w mundurach MO wygłaszać będą cykle pogadanek na tematy społeczne i wychowawcze. W wielu miejscowościach zostaną przeprowadzone kursy przestrzegania ruchu drogowego i poprawnego chodzenia.

Uniwersytety powszechne, kursy, spotkania dyskusyjne i odczyty to znane formy działalności środowiskowej wielu świetlic i domów kultury. Ale nie wszędzie znalazły one uznanie i nie wszędzie jeszcze cieszą się właściwą frekwencją. Reaktywowanie bądź też ich kontynuowanie, przy równoczesnym zapewnieniu wysokiego poziomu wykładów lub zajęć nie powinno ujść uwadze aktywu kulturalnego i społecznego.

Rok oświatowy jest akcją ogólnopolską. Wymiana doświadczeń między województwami może przynieść tylko korzyści. Pierwsze kontakty zostały już nawiązane przez nasze placówki społeczno-kulturalne. Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie prowadzi już dziś dość ożywioną wymianę doświadczeń z kieleckim WDK, a pracą naszej biblioteki wojewódzkiej coraz bardziej zaczyna się interesować bratnia placówka z Lublina. Jednak o szerokiej współpracy i wymianie doświadczeń z sąsiednimi województwami dziś jeszcze trudno mówić.

Zespoły świetlicowe, teatry poezji i dramatyczne oraz miłośnicy żywego słowa w bieżącym roku będą mieli wiele roboty. Czeka je przygotowanie odpowiedniego programu, aby mogły wziąć udział w Ogólnopolskim Festiwalu Teatralnym, organizowanym dla uświetnienia obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego.

Zamierzenia szerokie, bogate i optymistyczne. Na pewno potrzebny będzie jeszcze niejeden rok żmudnej i często niewdzięcznej pracy, aby plany te zostały w pełni zrealizowane.

M. C. GUZIOŁEK

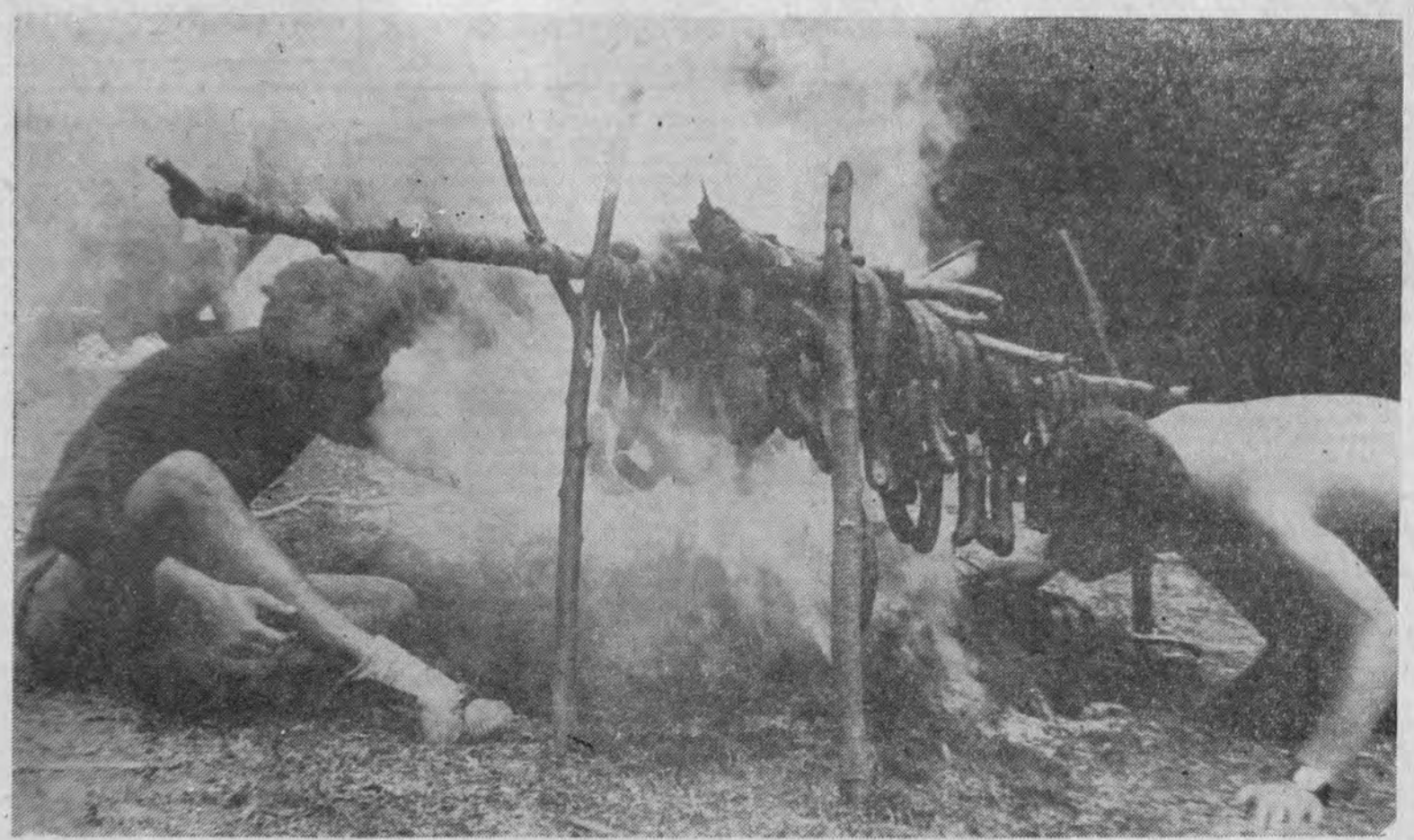

NA OBOZIE

Fot. Józef Ligęza

Czesław Kłak

Bawiłem się dobrze

NOWY sezon teatralny w Rzeszowie, otwarty został polską prapremierą włoskiej komedii „Dobranoc Patrycjo"*).

Autor sztuki — Aldo de Benedetti, cieszący się popularnością w wielu krajach Europy, w Polsce jest mało znany. Sztuki jego, mimo niewątpliwych walorów komicznych i satyrycznych, nie weszły na stałe do repertuaru scen polskich. Rzeszowska publiczność zetknęła się jednak z komediową twórczością Benedettiego. W 1947 roku, w okresie dyrektury Wandy Siemaszkowej, wystawiano tu zabawną komedię „Szkarłatne róże". Na obecnym spektaklu można się bawić równie dobrze. Ponadto „Patrycja" odznacza się mocnymi akcentami satyrycznymi, ośmieszającymi kuluarowe sensacje życia wyfraczonych dyplomatów. Sztuka ta uznana została przez krytyków za najlepszy utwór Benedettiego. Przyniosła ona autorowi nagrodę RAI — jako najlepsza komedia nadawana w 1930 roku przez włoskie radio.

1

Do pokoju hotelowego wbiega młoda kobieta w wieczorowej toalecie. Za nią wsuwa się udekorowany orderami i przepasany generalską wstęgą mężczyzna. Są to: Patrycja Lansen — żona ministra spraw zagranicznych i generał Burton — mąż stanu. Mają spędzić z sobą miłosne tête à tête, jak rok temu, jak corocznie od pięciu lat, podczas dyplomatycznych spotkań na najwyższym szczeblu. Patrycja niespodziewanie usiłuje przerwać romans. Wyjaśnienia i wymówki przerwane zostają gwałtownym pukaniem. Burton pośpiesznie kryje się na tarasie. W drzwiach staje minister Lansen. Sprytna kobieta usiłuje oddalić podejrzenia męża, ale corpus delicti w postaci palącego się papierosa przekreśla jej wysiłki. Lansen znajduje w alkowie mężczyznę, którego obecność bardziej zaskoczyła Patrycję niż jego samego. Właściwa komedia zaczyna się dopiero w tym momencie. Nieznajomy mężczyzna okazuje się złodziejem, ale złodziejem niezwykłym, dżentelmenem, który dzięki zbiegowi okoliczności zaawansował do rangi kochanka pani ministrowej. W tej sytuacji generał Burton pragnie uczynić wszystko, by utwierdzić Lansena w przekonaniu, że nieznajomy jest istotnie kochankiem Patrycji.

Zręcznie zawiązana akcja toczy się dalej wartko, przynosząc zaskakujące rozwiązania. Satyra o pewnym wycinku politycznym, umiejętnie wkomponowana w groteskową intrygę, odsłania prawdziwe oblicze dyplomatycznego światka, w którym wszystko kotłuje się i przewraca w zależności od gry, jaką podejmują przewidujący, pozbawieni skrupułów moralnych kierownicy „wielkiej polityki".

Tchórzostwo, obłuda, cynizm płynący z wyrachowania, to główne rysy zbiorowego portretu tej grupy reprezentowanej „godnie" przez generała Burtona i ministra Lansena. Ci mężowie stanu, dyplomaci rozstrzygający dużej wagi problemy, kierują się w sprawach międzynarodowych dbałością o własne interesy. Wszystko inne stanowi prawie nieważny margines, który bierze się pod uwagę tylko wtedy, gdy może to mieć wpływ na sprawy „zasadnicze". Minister Lansen prowadzi brudne machinacje naftowe. Angażuje w tę sprawę cały swój spryt życiowy i inteligencję, a nie waha się także w krytycznym momencie postawić na szali osobę swej żony. Tchórzliwy generał Burton nie prowadzi wprawdzie ubocznych machinacji o charakterze przemysłowym, ale powodowany prywatą, przyjmuje równie szkodliwą w skutkach postawę moralną. Sprawie ukrycia swego romansu poświęca wszystko — prawo do osądzania faktów, rozsądek i odpowiedzialność społeczną. Bez wahania popiera w wyborach postawioną przez męża swej kochanki kandydaturę złodzieja na prezesa poważnej komisji międzynarodowej. W towarzystwie tych dyplomatów człowiek o podejrzanej proweniencji, złodziej i aresztant, jest postacią skupiającą sympatię autora i widzów. Utrzymuje się wprawdzie z kradzieży, którą traktuje jako zawód, ale poza tym postępuje w życiu według norm swoistego kodeksu moralno - obyczajowego. Nie zna obłudy, wyrachowania i interesowności. Narzucająca się widzom konfrontacja postaw moralnych dyplomatów i złodzieja, ma pewien aspekt społeczno - dydaktyczny. Tyle o treści.

2

Przedstawienie reżyserował dyrektor i kierownik artystyczny rzeszowskiego teatru — Stefan Winter. Nadał on spektaklowi jednolity, zwarty charakter. Unikając groteskowego kształtowania postaci i tanich efektów komiczno-farsowych, wydobył walory dialogu. Reżyser nie pozwolił na nadmierne eksponowanie takich momentów, jak dwukrotne ukrywanie się generała Burtona na tarasie podczas ulewnego deszczu, markując je nieznacznie i usuwając na dalszy plan. W ogóle humor wynikający z sytuacji podaje S. Winter z umiarem i ostrożnie. Jedynie postać inspektora policji, który znalazł się w niezwykłej dla siebie sytuacji, została potraktowana bardziej groteskowo. To odstępstwo od generalnej zasady tłumaczy się jednak względami psychologicznymi. Inspektor ujmujący poszukiwanego przestępcę baranieje zupełnie, przekonując się jak wysoką pozycję zajmuje on w kołach dyplomatycznych. Ta dziwna sytuacja i błysk roztoczonej przed nim kariery, czynią go istotnie postacią groteskową.

Pozostałe sylwetki sceniczne w koncepcji reżyserskiej miały przemawiać do widza autentycznością życia wewnętrznego, niezależnie od tego, jakie ono jest. Taki właśnie rozkład akcentów w „Patrycji" umożliwił wydobycie z utworu satyry politycznej bez uszczerbku dla komediowej, zabawnej gry, w której biorą udział poważni, dostojni, utytułowani mężowie stanu i... złodziej.

Od strony aktorskiej przedstawienie jest na ogół wyrównane. Nie ma w nim zaskakujących kreacji ani poważniejszych potknięć. Aleksandra Bonarska, odtwórczyni dynamicznej roli Patrycji Lansen, stworzyła postać konsekwentną. Z dużym kunsztem potrafiła oddać stany depresji, nudy, podniecenia nerwowego, posługując się w miarę potrzeby bogatą mimiką. Również Irena Żuromska, w roli pani Wan Laer umiejętnie zespoliła cechy damy z towarzystwa ze swobodą sprytnej dziewczyny o bujnej, awanturniczej przeszłości.

Dobry był w roli ministra Lansena Franciszek Buratowski, niezmiennie na scenie cyniczny, wyrachowany i interesowny do obrzydliwości. Jednolity w reakcjach psychologicznych, powściągliwy w gestykulacji stworzył zwracającą uwagę postać statyczną.

Edward Apa w roli kochanka wytwornej damy bawił widzów, do granic tchórzostwa posuniętą dbałością o zachowanie pozorów.

Podobał się również Zdzisław Sikora jako złodziej Alberto Alcantara, chociaż nie wykorzystał w pełni możliwości aktorskich, kryjących się w roli. Nie stworzył bowiem charakterystycznego typu osobowości, mimo wyrazistego rysunku postaci, zawartego w tekście sztuki.

Do pewnego stopnia zmorą przedstawienia byli statyści, którzy przebywając na scenie przez kilka minut, w dodatku na pierwszym planie, przeżywali dantejskie piekło, co udzielało się także publiczności.

Mimo to, spektakl jest z całą pewnością udany. Prosta, oszczędna scenografia Ireny Perkowskiej, przystosowana także do warunków sceny objazdowej, dawała aktorom dużą swobodę ruchu.

„Patrycję" oglądałem dwukrotnie. Za każdym razem „podglądałem" publiczność. Wszyscy bawili się dobrze. Ja również.

*) Aldo de Benedetti — Dobranoc Patrycjo. Komedia w 3 aktach. Przekład: Zofia Ernstowa. Reżyseria: Stefan Winter. Scenografia: Irena Perkowska. Asystent reżysera: Jerzy Witowski. Kierownictwo literackie: Jerzy Pleśniarowicz. Wykonawcy: Aleksandra Bonarska, Irena Żuromska, Jadwiga Wysocka, Edward Apa, Franciszek Buratowski, Zdzisław Sikora, Władysław Trojanowski, Jerzy Witowski, Włodzimierz Górny.

Aldo de Benedetti — Dobranoc Patrycjo. Na zdjęciu: Aleksandra Bonarska (Patrycja) i Franciszek Buratowski (minister Lansen)

Jubileusz Sanoka

Jeden z najstarszych grodów Rzeszowszczyzny, miasto o ciekawej, przeszłości historycznej, miasto żywych tradycji polskiego ruchu robotniczego obchodzić będzie w bm. niecodzienny jubileusz: 800-lecie swego powstania. Osiem stuleci liczy pisana metryka miasta, chociaż jego rzeczywisty wiek równa się prawdopodobnie wiekowi naszego państwa.

Miał Sanok w swojej przeszłości karty niemałego znaczenia. W Polsce przedrozbiorowej był stolicą ziemi, którą od jego imienia zwano sanocką. Dla części kraju, sięgającej na północ prawie po Przemyśl, a na zachód za Krosno — stanowił przez wieki centrum polityczne, gospodarcze i militarne. W mocno obwarowanym zamku nad Sanem rezydowali starostowie sanoccy, tutaj odbywały się sądy i zjazdy szlacheckie. Często bywali tu królowie i hojną ręką obdarowywali to kresowe miasto różnego rodzaju przywilejami.

Wcześnie, bo już przed 130 laty powstały w Sanoku zalążki nowoczesnego przemysłu: dwaj żołnierze powstania listopadowego, chroniąc się przed prześladowaniami do Galicji dali początek sanockiej fabryce autobusów, dzisiaj jednemu z największych tego typu zakładów w Europie. Od początku dwudziestego stulecia poważną rolę w dziejach miasta odgrywa klasa robotnicza, tocząca upartą walkę o prawa polityczne i poprawę bytu proletariatu. Pierwszy strajk proklamowano w Sanoku w 1901 r., a ostatni niedługo przed wybuchem drugiej wojny światowej. Tutaj powstała jako jedna z pierwszych w kraju komórka związku zawodowego metalowców, tu działała, uzyskując mocne oparcie w masach Komunistyczna Partia Polski.

Dzisiejszy Sanok — to ważny ośrodek przemysłowy Rzeszowszczyzny, a zarazem brama wypadowa do jednego z najbardziej atrakcyjnych rejonów krajowej turystyki — Bieszczadów. Ponad 100 tysięcy osób przewinęło się w ubiegłym roku przez gród wybitnego polskiego humanisty, Grzegorza z Sanoka. Większość z nich nie pominęła okazji, by zobaczyć jedyne w swoim rodzaju zbiory bizantyjskich ikon, chlubę tutejszego muzeum.

Już dzisiaj, 15 bm. wypełnią się turystami sanockie uliczki, miasto przybierze odświętny wygląd. W programie obchodów przewidziano uroczystą sesję Miejskiej i Powiatowej Rady Narodowej, poświęconą 800-leciu Sanoka, sesję naukową o tematyce traktującej zarówno o przeszłości miasta, jak i o jego perspektywach rozwojowych. Nastąpi uroczyste odsłonięcie zniszczonego przez Niemców pomnika Tadeusza Kościuszki, jeden z dni poświęcony też będzie Sanockiej Fabryce Autobusów. Program uroczystości, które odbywać się będą aż do 25 września przyniesie również szereg imprez kulturalnych i sportowych, m. in. z „Medeą" przyjedzie tu teatr im. Wandy Siemaszkowej, a reprezentacja Sanoka rozegra spotkanie z piłkarzami czechosłowackiego Preszowa.

Komitet społeczny, przygotowując uroczystości, wydał specjalną odezwę do rozrzuconych po kraju, a także zagranicą sanoczan i sympatyków tego pięknego miasta, zapraszając ich serdecznie do udziału w obchodach. „W czasie Waszego pobytu — czytamy w odezwie — będziecie mogli nie tylko zapoznać się z przeszłością miasta i jego historycznymi pamiątkami i oglądać wystawę „Sanok w malarstwie", ale również zobaczycie jak miasto wygląda w chwili obecnej, jak po II wojnie światowej zmieniło się, jak rośnie i pięknieje".

Zh. W.

KAZIMIERZ BOSEK

DYNASTIA DZIADKA STEFANA

(fragment)

W tym swoim pokoju siedzieliśmy niedawno długo w noc, a stary zastanowił się raptem, co tak szumi za oknami, na co ja, nigdzie nie wychodząc, ani nie uchylając zasłony, że to chyba wiatr od Przełęczy, zawsze silny na przedwiośniu i porywisty, i budzący się z nagła. Niech ojciec, powiedziałem, spokojnie sobie czyta i zapisuje, bo to jest nic innego. Tak powiedziałem, nie przypuszczając, że z powodu drobnostki będącej nieszkodliwą pomyłką, dojdzie między nami do sprzeczki. Wcale mi to przez myśl nie przeszło, tymczasem nazajutrz z rana okazało się, że to nie wiatr szumiał za oknami, tylko przybierał gwałtownie ten diabelny potok za drogą, który nawet nie ma swojej nazwy, ale dokucza rokrocznie; obudził mnie hałas i jak się ubrałem, stary zdążył wynieść z piwnicy kosze ziemniaków, słoje i gąsiory, chociaż wody pokazało się ze trzy litry, nie więcej; naturalnie, usłyszałem zaraz o swoim zobojętnieniu i lenistwie, i czując się jakby mi odbierano coś bardzo nietykalnego z tamtej pierwszej wiosny w naszym domu, zatęskniłem — aż krępujące mówić o tym — do dawnej, dobrej pory.

Nie tak dawno była to rzeczywiście dobra pora, najlepsza pora na rozmowy, na zastanowienia i nawet na obsprawianie się. Pierwszego przywoziliśmy pieniądze i każde z nas dawało do wspólnej kasy ile mogło — resztę odkładaliśmy skrzętnie, żeby sobie uzbierać na ubranie lub buty; ja przeznaczałem ją na książki, których w naszym domu jest już z półtora tysiąca. Najczęściej mieliśmy mało pieniędzy, tedy i wydatki nie mogły być duże i w sumie niewiele się wzbogacaliśmy, a już najmniej matka, która nie zarabiała i której czasem przywoziliśmy z miasta praktyczne drobnostki, jakich ani u nas, ani na targu w Strzyżowie dostać nie można. Musisz wiedzieć, że ze wspólnych pieniędzy stary spłacał pożyczki bankowe, zaciągnięte przed wieloma laty na budowę domu, kupował węgiel i różne rzeczy niezbędne w gospodarstwie, jeśli za gospodarstwo uznać można tych arów sześćdziesiąt, rozciągniętych za naszymi oknami.

Tak było do niedawna.

Tymczasem tego przedwiośnia, jakkolwiek powolność zdawała się być powszechna, coś się zmieniło niespodziewanie w porze obsprawiania i rachunków, nieomal w każdym tygodniu, chyba w całym naszym życiu. Nie to, iżbyśmy nie robili zakupów i nie mieli wydatków, tego nigdy nie braknie. Rzecz w tym, że nadeszły dni przybierających na sile namiętności i stary przypomina człowieka, któremu po długiej chorobie wzmaga się apetyt. W zniecierpliwieniu większym niż w latach poprzednich, kiedy tułałem się jeszcze po akademiach i sublokatorkach i sam miałem zbyt niedorzeczny urodzaj kłopotów, by pomyśleć o własnym kącie — stary wdawał się w rozliczne kalkulacje, widać chciał osiągnąć czym prędzej wszystko, nad czym przemyśliwał jakżeśmy wieczorami siadali obaj w pokoju, albo też co innego, co sobie może postanowił wiele wcześniej, nim jeszcze mogliśmy siadać w tym pokoju, każdy na swoim miejscu. Przy końcu każdego miesiąca, jak dzień długi, wracał raz po raz do sprawy, trzeba się, mówił, spieszyć, bo pogoda dobra i okazja nadzwyczajna, i tylko, mawiał, renty mojej kolejowej nie starcza. I tak w kółko, bez względu na pogodę i okazję, my zaś wiedzieliśmy o co chodzi. Jak widzisz, wnętrza drugiej połowy naszego nowego domu nie są jeszcze wykończone. Nie ma jeszcze łazienki, nie ma hydrofora ani regałów wokół ścian w tej naszej izbie, a w przedpokoju to nawet brakuje barierki, odgradzającej zejście do spiżarni i piwnicy, i jest tylko dziura z cementowymi schodkami w dół; a tak być nie powinno. U diaska, chciałbym wreszcie zobaczyć nasz dom w kompletnym uporządkowaniu, w domu prościutkie mebelki, nasycenie pragnień, my wszyscy chcielibyśmy tego, a najbardziej stary — o, stary wolałby wpierw zamiast mebelków ujrzeć rychło, jak najrychlej, ten żywopłot, zasadzony w pierwszą wiosnę wokół warzywnika i to chyba taki, żeby był widoczny z okna, i z drogi, i w ogóle z każdego miejsca, i żeby miał co najmniej ze dwa metry wysokości. Taki porządek, taką kolejność nastawania rzeczy wolałby w swoim zniecierpliwieniu ujrzeć mój stary.

On, mój stary, nie był pierwszy, który postanowił doprowadzić wszystko do końca, okazał się jedynie bardziej pazerny i na przedwiośniu musiało to być zastanawiające — po prostu zbieg okoliczności — gdyż momentami wydawał się zachowywać chłodną powściągliwość. Myślałem zrazu, że okazji do wystąpień w niespodziewanie zerwanej łagodności dostarczył mu wypadek, co się przydarzył matce, wstającej z rana najwcześniej, aby nam, zanim wyruszymy na stację, przygotować śniadanie. Ten wypadek wcale by się nie przytrafił, gdyby nasz dom miał już wszystko, czego jeszcze nie ma, to pewne; nic podobnego nie zaistniałoby nigdy, chociaż rano moja matka idzie przez przedpokój do kuchenki i jak idzie, jest często ledwie przebudzona i czasem źle wypoczęta, mimo że staramy się pomagać jej w pracy. Otóż właśnie o takiej porze potknęła się jednego razu i upadła do zejścia nie zabezpieczonego barierką. Wypadek nie zakończył się na szczęście czymś smutnym, jednakże w tym to bodaj okresie, na długo przed nastaniem comiesięcz-

Cezary Kotowicz — PORTRET Fot. Al. Hadała

Renata Niemirska — Pisarek

Reminiscencje z wystawy

Aktualnie odbywająca się wystawa malarstwa i rysunku Cezarego Kotowicza jest zorganizowana przez Muzeum Okręgowe w Rzeszowie. Cezary Kotowicz znany jest społeczeństwu rzeszowskiemu z wielu odczytów z zakresu historii i teorii sztuki, które wygłaszał w Wojewódzkim Domu Kultury. Obecna ekspozycja pozwala zapoznać się z całokształtem twórczości tego młodego artysty. Cezary Kotowicz dopiero 5 lat temu ukończył studia malarskie w krakowskiej ASP. Na wystawie znajdują się prace z okresu lat 10, a więc i z okresu studiów, są one jednak zupełnie samodzielne, malowane poza pracownią. Cezary Kotowicz należał do „Grupy XIV", której działalność znana jest mieszkańcom Rzeszowa. Obecnie jest jednym z najbardziej twórczych malarzy tutejszego środowiska. Wzbogaca swój warsztat malarski wciąż nowymi doświadczeniami, nie rozstaje się nigdy ze szkicownikiem. Malarstwo jest dla niego sprawą dnia powszedniego. W codziennym szukaniu odkrywa kształt świata zobaczonego własnym spojrzeniem — obrazy swoje maluje długo, szukając najpełniejszej formy dla wyrażenia zamierzonych treści, wraca do nich po latach, by wciąż na nowo pracować nad nimi. Sam projektuje ramy do swych obrazów, by w sposób najwłaściwszy zamknęły kompozycję.

Zgromadzone na wystawie prace pokazują w sposób niejako chronologiczny drogę rozwoju artysty. Od prac bardzo realistycznych o charakterze studyjnym, w sposób epicki opowiadających o rzeczywistości, przechodzi do ujęć bardziej syntetycznych, w których dramatyczność spięć odgrywa główną rolę, w których abstrakcje pojęć wyrażone są jednak bliskim i materialnym konkretem. Artysta szanuje przedmiot, traktuje go niejako z pietyzmem, chociaż w późniejszych obrazach staje się on już tylko symbolem.

(Dokończenie na str. 4)

Stanisław R. Lipiński

ROCZNICA

Opowiadanie

Nie odchodzi.

Ze wzgórka patrzy na plażę, zwaną „babską", gdzie za piłką biegają półnadzy chłopcy, mężczyźni łowią ryby lub grają w karty, a z dala od brzegu siedzą kobiety z dziećmi. Woda w rzece jest jak zwykle brudna, kąpie się niewiele osób. I dawniej, w pogodne popołudnia sobotnie, bywało tutaj podobnie. Ale tym razem nie rozpoznaje pośród obecnych ani jednej znajomej twarzy.

W opuszczonej ręce trzyma książkę i jakoś nie może się zdecydować, aby usiąść i czytać. Po prostu wydaje mu się to czymś nieodpowiednim wobec tych ludzi, mimo iż z nikim nie zamierza nawiązać rozmowy. Kiedy tylko nadszedł, wszyscy zaraz go zauważyli i na pewno wzięli za obcego faceta ze śródmieścia, co to zapędził się przypadkowo zbyt daleko za miasto. Wyczuł to łatwo. A przecież zapytany w tej chwili przez kogoś, po co tu przyszedł, mógłby od razu odpowiedzieć, że stąd pochodzi, z tego przedmieścia, czy też z tej podmiejskiej wsi.

Przyjechał w te strony na kilka dni, bez uprzedzenia, po długiej nieobecności. Wybierając się w podróż, raczej nie chciał zdawać sobie jasno sprawy czy pragnie odwiedzić towarzysza chłopięcych zabaw i jego rodziców, czy też wyłącznie ten zakątek, zawsze bardzo mu drogi, chyba jedyne miejsce tak pieczołowicie zachowywane w pamięci.

Ostatni raz siedział na tym brzegu przed piętnastu laty, w miesiąc po wyzwoleniu. Jako stateczny uczeń pierwszej gimnazjalnej, udał się nad rzekę z książką, ale pamięta dokładnie, że jej lektura wcale go nie zajmowała. Później często wracał myślami do owego dnia jak do określonej, stałej rocznicy.

Po murawie uganiają teraz pies i jego pan, ładnie zbudowany i opalony mężczyzna. Dog co chwila niestrudzenie przynosi rzucane do wody patyki. Raz po raz strząsa z sierści tysiące drobniutkich kropelek. Jest szybki, silny, w przodzie masywny, w tyle sprężysty. Popisy psa, groźnego z pozoru, zajmują i bawią przygodnych widzów.

Nawiedza go przypływ radości. Nie spotyka się w tej chwili tutaj, z przymuszaniem go do takich czy innych postąpień, do działania wbrew jego woli, chociażby tylko z fizycznym uczestnictwem w nich jego osoby. Niczego nie musi przyzywać na pomoc, aby się oderwać od tamtego świata, pełnego pracy, monotonii i udręczeń. Zwyczajnie, pozostawił go poza sobą, uwolnił się od wszelkich kłopotów, być może wyolbrzymianych, niepokojów, przeciwieństw i ciężarów. Pozwala sobie — bez jakiegokolwiek protestu — ulegać urokowi otoczenia.

Na piesze przebycie drogi stąd do jego dawnego domu trzeba kwadransa, lecz on wówczas wszystkie odległości pokonywał biegiem, więc starczało mu na to pięć minut. Dysponował swobodą, bo do powszechniaka uczęszczał dwa razy w tygodniu. Najchętniej bawił się z Januszem i Jurkiem, najczęściej w wojsko. Wtedy to w biały dzień kolportował prasę podziemną bezwiednie i jawnie przenosząc pakiety z bibułą, a wieczorami, z wielką ostrożnością, doręczał do sklepów bułki, obarzanki i amoniakowe ciasteczka, które wypiekała matka. Dzięki jej pracy mogli jakoś żyć po aresztowaniu ojca.

Nie zabiega o kierowanie własnymi myślami. Powolnym tokiem przechodzą wspomnienia — banalny życiorys chłopca z przedmieścia. Lubi tak czasem odkrywać u siebie brak napięcia sił w ciele i rozwlekły przepływ myśli przez umysł. Zawsze było mu trudno opisać podobne stany, w których jak się pozornie wydaje jest mało, ale wie o tym, że chcąc dociec ich istoty, można w nich znaleźć za wiele...

Dwaj chłopcy droczą się z głupawym pastuchem. Poznaje go: nazywa się Walek. Zapędzili mu cielę na środek rzeki i nurzają je w wodzie. Bezsilny Walek odgraża się im tylko bełkotliwie z brzegu, bo musi trzymać łańcuch z krowami. On także droczył się niegdyś z Walkiem.

Po wojnie matka zarabiała wyrobem lalek. Odbijali wspólnie, w nakrochmalonym płótnie, twarzyczki lalek, na porcelanowej główce, znalezionej w szufladzie. Matka malowała je i przytwierdzała do kadłubów. On przewlekał na ołówku ręce i nogi przyszłych krakowianek, wypychał trocinami, ubijał je mocno, bo lalki musiały mieć „toczone" kończyny. Potem odnosił towar do sklepu, który prowadziła żona profesora geografii, więc się trochę krępował. Matka umarła na serce... Później nastąpił w jego życiu długi okres borykania się o własnych siłach, wypełniony pracą, jakże ciężką pracą. Aż wreszcie tego roku, w połowie maja, obronił rozprawę doktorską, dzięki czemu jakiś czas mógł uważać się za człowieka u k o ń c z o n e g o, który doprowadził własny proces życiowy do granicy, ukoronował wysiłki. Ale był wyraźnie zmęczony paroletnim ślęczeniem w bibliotece uniwersyteckiej, wertowaniem co najmniej dwustu stron prac naukowych dziennie. Niczego nie osłodziło mu otrzymanie tytułu adiunkta, ponieważ jednocześnie uświadomił sobie z jakąś goryczą, iż nie zamierzał zostać uczonym. Wyszło mu to jakoś mimochodem. Podczas wakacji przeraził się własnego oklapnięcia, pustki. Zapragnął się dokądś wyrwać...

Na plaży powstaje raptowne zamieszanie: pies przygonił z pól kota i znęca się nad nim jak kot nad myszą. Obiega ofiarę, dopada i puszcza. Ponownie dopada i chwyta zębami za kark, i podskakuje razem z nią, i rzuca z wściekłością o ziemię, wywijając się przy tym sam w powietrzu. Na nic nie zdają się energiczne rozkazy pana, dorośli nie próbują niczemu zaradzić, bo wolą nie ryzykować. Ale do akcji wkracza nieoczekiwanie Walek. Porzuca bydło, robi parę niezgrabnych kroków i z całych sił zdziela kijem psa przez grzbiet. Umożliwia to kotu ucieczkę, a ogłupiały pies łasi się płochliwie u nóg pana. Żądny uznania Walek, wodzi wokoło chełpliwie oczyma.

I on spotyka się ze wzrokiem Walka.

Odchodzi, lecz nie wraca jeszcze ku miastu. Kieruje się do zakrętu rzeki, pod wielką wierzbę. Tam dawniej się kąpał, skakał do wody i pomagał piaskarzom dobywać piasek. Poznaje zagrody, do których robił wypady na młodą kalarepę, marchew i jabłka. Rozgrzesza się z tych postępków, bo był po prostu głodny... „Powinieneś się wstydzić, Marku, podglądać mnie, kiedy wykręcam kostium" — brzmią mu w uszach słowa zalotnej Haliny. Nie wiedział wówczas dlaczego za nią ugania, przeszkadzając jej i innym dziewczynom w zabawach. Podobała mu się bardzo, nie mógł przez nią sypiać, ale nie potrafił jej niczym ująć i pozyskać. Była starsza o parę lat. Pozostawało mu jedynie poczynanie jej niezbyt taktownych psot. Halina jest dzisiaj znaną aktorką, występuje w filmach. Nigdy się z nią nie spotkał od tamtych czasów.

Ogarnia wzrokiem pamiętny widok: niemal taki sam zachód słońca nad neogotyckim kościołem, zieleń ogrodów, pasma pól gęsto podzielone przez miedze i gospodarcze drożyny. — Po raz wtóry dziwi się trochę, że to wszystko uległo jakiemuś pomniejszeniu.

Dostrzega w krajobrazie zmiany: na kościelnej wieży nie ma wyrw od pocisków, zniknęło parę strzech, przybyły domy murowane, a poniżej, na równinie, powstała fabryka. Rzeką nie płyną ławice drobnych ryb, brzuchami do góry, ogłuszone wybuchami granatów. Na przeciwległym brzegu wycięto olszynę.

Jadący przed nim konno wyrostek trzyma ręce w kieszeniach spodni i gwiżdże. Bose pięty jeźdźca odbijają się od boków konia. Stąpnięcia kopyt kiekotają jednostajnie.

Na ścieżce, wśród plantacji wikliny, przekłada książkę z ręki do ręki i machinalnie puszcza w ruch jej kartki: „Mario i czarodziej"... „Pan i pies"... „Śmierć w Wenecji" miga na żywej paginie.

Uśmiecha się bezgłośnie sam do siebie.

---

nej pory obrachunków, stary pokazał drugą twarz i niepokoić począł, jak gdyby to było jedyną dyspozycją jego natury.

Tak więc, myślałem początkowo, że to właśnie wypadek matki sprowadził niepokój, co naszym domem niespodziewanie zawładnął, jednak wkrótce, po wielu drobnych zdarzeniach, powtarzających się z dokładnością czułych instrumentów, przekonałem się i ciebie pragnę przekonać — o ile w ogóle komukolwiek poza sobą mogę uzmysłowić uciążliwość sekretnego sporu o nadzieje — iż staremu zależało w zasadzie na zdobyciu wolnej ręki. Chciałby, jak powiedziałem, urzeczywistnić absolutnie bezsporne ambicje, kończące się zazwyczaj kompromisem, ugodą z konieczności. Wszakże rozumiesz, że rzadko można sprawdzić, aby się wszystko działo po naszej myśli. No, bo jeśli ktoś ze wsi zarabia w mieście, to jeszcze nie oznacza, że się wyzbył kłopotów, co innego jeśli żyje równocześnie z gospodarki, z koni, wieprzów i maszyn. My jeździmy do miasta, żeby wyżywić się i na wsi mieszkać przyzwoicie, i jest to niejako naturalna konsekwencja naszej przeszłości idącej w zapomnienie. Życie pokrzyżowało losy niejednej rodziny w dolinie, nam przynajmniej od czasów dziadka Stefana tak bardzo, że z pełnego pleśni i mchu poczworacznego Piekła, mogliśmy się wynieść do domu, zbudowanego w pobliżu Karczmiska dopiero w niewczesnym wieku moich starych. Pamiętam, że jak wózkiem ręcznym, pożyczonym od sąsiada przewoziliśmy drogą z Piekła nasze graty, a chłód panował wtedy i wymroziło nam pomidory w warzywniku — nikogo ten fakt przenosin nie zadziwił ani nie zdumiewał, a przecież był to fakt znaczniejszy niż u innych, myśmy niczego w spadku nie przejęli, co by życie ułatwić mogło, i samiśmy się dorabiali wszystkiego, dłońmi mojej matki, moimi i mojego starego, gdy jeszcze przywoziłem w teczce gwoździe pogięte i przeżarte rdzą, i gdy ja chodziłem prostować je w warsztacie stolarskim Drapały. Więc to wszystko z naszego tylko potu. Sam dziadek Stefan nie był szczęściarzem fortuny i niczego nie mógł pozostawić, spuściznę jego szczególną uświadomiłem sobie dopiero w okresie tych drobnych uciążliwości, wiele lat po jego śmierci, w wieku moich starych dostojnym, ale jeszcze nie bezsilnym, wytaczającym spór również o ich starość, upatrujących w działaniu powodów do spełnienia. Dziadek Stefan, powiedziałby pewno, że gdyby moi starzy mogli się obejść bez działania, za którego sprawą tworzy się, co widzimy i co chcielibyśmy widzieć, to nie przyszłoby im do głowy obarczać się takim ciężarem; ponieważ jednak życie niejedno poprzestawiało, nawet w naszej małej dolinie, przeto muszą myśleć o zachowaniu tego co z nich wynika. Myślę, że tak powiedziałby dziadek i że w tym powiedzeniu, co je sobie dobrze przemyślałem, tkwi cała wartość jego darowizny.

Dziadka Stefana pamiętam doskonale, chociaż odszedł w siedemdziesiątym trzecim roku życia, czyli przedwcześnie. W młodości swojej służył na dworze hrabiego Michałowskiego i uchodził we wsi za człowieka światłego, zgrabnie posługującego się piórem, a przecież wykształcenie odebrał w szkole ludowej jednoklasowej. Mieszkał w chałupie przykrytej strzechą, gdzie stoi dzisiaj murowany budynek wujka Kazka, nie odróżniającej się niczym od innych domów we wsi, jeśli naturalnie nie liczyć pałacyku dworskiego, willi księdza Kwiecińskiego i probostwa Szawana. Z sieni, przedzielającej dom w połowie, wchodziło się do bydląt, także do izby i izdebki, takiego pokoju, w którym była podłoga z desek i nad wezgłowiem rzeźbionych łóżek rozpierała się sowa, wypchana trocinami; dziadek upolował ją podobno, kiedy się zagnieździła za kalenicą, co dawniej przynosiło nieszczęście, a na co dziadek nie zważał. W tym to domu, dopóki nie zwolniła się w Piekle jedna izba, mieszkaliśmy po froncie z wujkiem Kazkiem, z dziadkiem i jego wnukami — Marianem i Ireną, i z wujenką, i z babką. W ogóle mieszkało nas tam coś około mendla.

Dziadek był wspaniałym człowiekiem, utrwalonym w mojej pamięci przez fakt diabelnej zawziętości i uporu. Także dlatego, że nawet kiedy ciężko pracował, za ciężko jak na swój wiek, to spod jego czoła, zaoranego w nieregularne skiby, patrzyły zawsze mądre i przenikliwe oczy. Kiedyśmy, mając ulubienie rzeczy zakazanych, dokazywali za bardzo, natychmiast zapadał w obrazę. Gnębił nas swoim milczeniem przez dni kilka (myślę w ogóle, że umiałby się gniewać na ludzi, był z takiej samej gliny, jak ci, z którymi teraz żyję), więc przez dni kilka nic nie mówił i to było przykre, ponieważ potrafił ciekawie opowiadać o swoim żywocie wyrobnika. Nigdy natomiast nie kazał nam za karę klękać na worku z grochem, lub przepisywać całych stronic książki. Tę ostatnią czynność przekazał naszym starym, aby ich przyzwyczaić do metody tradycyjnej, samemu zaś nie rozciągać jej na drugie pokolenie. Muszę przyznać, że starzy uznali tę metodę za praktyczną, przejęli ją wraz z tym, co matka raz nazwała sztuką życia.

Zanim wyruszyłem w świat, to znaczy, jak jeszcze paśliśmy krowy, dziadek uczył nas robić cyganki. O, do diabła, jak on umiał robić te koziki o trzonku z buczyny i ostrzu ze zużytej kosy! Nie mogliśmy się wprost nadziwić. Czasem czytał nam z biblii, ale dopiero dzisiaj widzę, że pomijał wiele interesujących fragmentów. Niekiedy wypytywał z tabliczki mnożenia, a jak wszystko szło dobrze, to z lnianej chustki, pamiętającej dawne czasy, wyjmował pajdę razowca, dzielił ją na części i jedliśmy, posługując się swoimi cyankami, chleb był wtedy lepszy i bardziej smakował od dzisiejszego.

Pomimo tego rozsmakowania mnie się niekiedy wydawało, że te lata nigdy nie miną. Boso, rzadziej na przyboś, bez skarpetek i w portkach ze zgrzebnego płótna, biegaliśmy wówczas do szkoły. Wołano za mną „Zając te Zając", bo Zającem nazwał mnie Władek Janaś, kiedyśmy powrócili do wsi za frontem i za wzgórz wyleciały samoloty, i kiedy ja, przywykły do niewygód i chowający się na widok samolotu, schroniłem się w bruździe kartofliska. Więc wołano za mną w ten sposób przez te szczenięce lata i jedynie dziadek potrafił mnie zrozumieć, w nim miałem gorliwego obrońcę, a on we mnie swego ucznia, dziś chyba mało wiernego wielu jego słowom. Niemniej, tak powiadają o mnie, nauczyłem się od dziadka różnych rzeczy, najbardziej chyba potrzeby niezależności, odrzucania skrytych ambicji, tak silnych, jak przejęte przez moich starych niestrudzenie, hamowane pragnienie uznania i upór. Później pojąłem też, dlaczego on lubił i potrafił robić te cyganki z buczyny.

Reminiscencje z wystawy

(Dokończenie ze str. 3)

Obrazy Kotowicza nasycone są treścią, posiadają podteksty. Środki malarskie wydobywają treści istniejące jakoby poza płaszczyzną płótna. I tak np. pejzaż z pociągami jest nie tylko zestawieniem barw i form, czy wreszcie czterech konkretnych pociągów pędzących w feerii błękitów i różów wprost na widza, jest jakąś apoteozą ruchu i pośpiechu, rozedrgane plamy barwne stwarzają nastrój niepokoju, nastrój wędrówki niewiadomej i równocześnie pełnej nadziei.

Nie wiem jakie myśli towarzyszyły twórcy przy powstawaniu jego obrazów. Każdy z odbiorców zapewne będzie doznawał nieco odmiennych wrażeń. Wszak odbieranie dzieła sztuki zależne jest nie tylko od bezwzględnej jego wartości, ale i również od psychiki odbierającego. Jednakże siła oddziaływania obrazu jest chyba miernikiem jego wartości.

Obraz nim „zmaterializował się" na płótnie powstał najpierw w psychice artysty. W obrazie zatem pozostaje część człowieka, pozostają jego myśli, wzruszenia, jego odczucia. W trudnym i skomplikowanym procesie tworzenia obraz nasiąka ludzkim przeżyciem. Wydaje mi się, że u podłoża obrazów Cezarego Kotowicza tkwi silny podkład uczuciowy.

Obrazy takie jak „Odlot", „Wieczór" czy „Samotność" są ekspresyjną metaforą. Ustalają kompromis pomiędzy myślą, napięciem uczuciowym a przedmiotem. „Odlot" — to na pozór pejzaż ze sztafażem. Pejzaż traktowany szeroko, całościowo. Na tle granatowego nieba sznur cynobrowych ptaków, w dole krajobraz ponury, w kolorze złamanych różów i brązów z opustoszałym domostwem. U skraju drogi stoi człowiek samotny — groteskowy i zarazem tragiczny. „Wieczór" jest utrzymany w błękitach i fioletach, emanujących atmosferą wiecznego ruchu i przemijania. Na dworcowym peronie wśród odjeżdżających pociągów samotny człowiek zagubiony i obcy.

W kompozycji „Samotność" realia są już tylko symbolem. Maleńka postać człowieka wyobcowana wśród przedmiotów martwych, przygniatających go swym ogromem.

Niemal wszystkie obrazy Cezarego Kotowicza nasycone są jakimś szczególnym klimatem nastrojowości i poetyki.

Pomarańczowy pejzaż utrzymany w tonacjach ciepłych, gdzie formy rozpływają się w rozedrganej temperaturze gorącego powietrza, gdzie ledwie zaznaczony kształt pędzącego pociągu ze smugą różowego dymu wprowadza znów jakiś nastrój niepokoju i niestabilności.

„Pejzaż po zachodzie słońca" jest abstrakcyjnym zestawieniem błękitów i zieleni, wśród których świecą cynobrowe plamy — oddaje on sugestywnie, niemal konkretnie atmosferę nocy. Cykl pejzaży morskich, dynamicznych, o zestawieniach kontrastowych i niespokojnych ukazuje urodę krajobrazu fascynującego swą zmiennością.

Z wcześniejszych prac artysty szczególnie zwraca uwagę martwa natura zatytułowana „Po znojnej pracy". Jest ona w jakimś sensie opowieścią o znojnym trudzie człowieka: buty rzucone gestem zmęczenia, latarka górnicza i inne rekwizyty stwarzają wizję pracy człowieka, dość zresztą konkretnie określonej, monochromatyzm obrazu podkreśla atmosferę znużenia i pewnej jednostajności. Oszczędność środków malarskich, prostota i szczerość czynią obraz bardzo komunikatywnym.

Cykl rysunków zamyka ekspozycję.

Ten pobieżny szkic nie pretenduje do oceny twórczości artysty, nie jest też szczegółową analizą prac znajdujących się na wystawie. Chciałam po prostu podkreślić to, co wydaje mi się najistotniejsze w twórczości artysty.

Malarstwo Cezarego Kotowicza jest przedstawieniowe, jest to malarstwo przedmiotowe, choć jak już wyżej zaznaczyłam przedmiot w obrazach późniejszych sprowadzony jest do roli symbolu, do roli znaku, który określa treść uczuciową i intelektualną. Wszystkie obrazy Kotowicza nasycone są wewnętrzną treścią. Forma niekiedy prymitywizująca, o pewnych cechach naiwności podkreśla spontaniczność widzenia.

Nie sądzę, aby prace znajdujące się na wystawie były szczytowym osiągnięciem artysty — myślę, że jego wciąż rozwijająca się osobowość twórcza pozwoli mu tworzyć dzieła coraz pełniejsze, coraz bardziej dojrzałe.

RENATA NIEMIRSKA-PISAREK

Mgr Władysław Bobek — Kierownik Zakładowego Domu Kultury w Stalowej Woli. *Rys. B. Latawiec*

WIDNOKRĄG odpowiada

Czytelnik z pow. Gorlice. Dokładnie to samo czytaliśmy w gazetach tylko tam nie układano tych wiadomości w słupek wiersza. To nie jest utwór poetycki — brak charakterystycznych cech wiersza: metafor, porównań, kondensacji myśli, płynności i rytmiczności języka.

„Kristin": Jeśli Pan chce byśmy orzekli czy warto kontynuować próby poetyckie prosimy o nadesłanie więcej wierszy. Utwór, który otrzymaliśmy nie ma wartości artystycznych, ale trudno na podstawie jednego wiersza wydawać opinię o talencie.

Myśli z pism J. Ignacego Kraszewskiego

(z okazji 150. rocznicy urodzin pisarza)

- *Nie ma szczęścia dla człowieka, jeżeli się nim z drugim podzielić nie może.*
- *Tylko człowiek, który szuka światła, wie jak jest ślepym.*
- *Prawo nie zna ludzi, tylko uczynki.*
- *Książka nie tylko uczy nas sama, ale do uczenia pomaga, budząc to, co w nas spoczywa.*
- *Umiesz mówić prawdę, naucz się jej słuchać.*
- *Można być szczęśliwym tylko w oczekiwaniu, nigdy w posiadaniu szczęścia.*
- *Dym szczęścia i kadzideł upaja, ale nie pragnąć ich należy, lecz od nich uciekać.*
- *U nas, gdy tylko ktoś dwa wiersze sprzągł, już się poetą zowie i w rozumieniu swoich parafian uchodzi za olbrzyma, za wyrocznię nieomylną w rzeczach literatury.*
- *Wszystko jest chwilą, kwiatem co więdnie, promykiem co gaśnie, piosenką, która przebrzmiewa.*
- *Słabi tylko giną w objęciach przeciwności, silni karmią się u jej piersi.*

Wybrał: j. k.

Zdarzenia tygodnia

Spotkanie z popularnym rzeszowskim artystą plastykiem Adolfem Jakubowiczem odbyło się w poniedziałek 10 bm. w Klubie Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia w Iwoniczu-Zdroju, gdzie eksponowane są prace artysty. Spotkanie, które otworzył dyrektor Uzdrowiska mgr Janusz Jarno, spotkało się z zainteresowaniem, a dyskusja była niezwykle ciekawa. Dotyczyła głównie problemów sztuki współczesnej.

* * *

W województwie rzeszowskim odbywają się spotkania z delegatami na V Kongres Związków Zawodowych. Imprezy te urozmaicone są często występami związkowych zespołów artystycznych. M. in. na spotkaniu z delegatami na V Kongres Zw. Zw. jakie odbyło się ostatnio w PDK w Kolbuszowej, wystąpił zespół estradowy Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Rzeszowie „Bubel".

Na program imprezy złożyły się piosenki w wykonaniu Steni Dyniowej i Henryka Pasternaka, monologi w wykonaniu Katarzyny Miąsikowej i Stanisława Kotuli.

* * *

Jedną z nowych form popularyzacji czytelnictwa na wsi będzie niewątpliwie wprowadzenie szerokiej sieci wiejskich kolporterów książek. Funkcji tej podejmują się bibliotekarze gromadzcy, którzy podpisują już umowy z „Domem Książki". Główny nacisk położą oni na popularyzowanie książek fachowo-rolniczych i naukowych, ale rozprowadzać będą także beletrystykę.

Z inicjatywą zorganizowania tej nowej sieci kolporterów wiejskich wystąpiła Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie i PP „Dom Książki".

* * *

Nowy, pięknie urządzony lokal filii bibliotecznej Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej oddany zostanie mieszkańcom dzielnicy Rzeszowa - Staromieście w poniedziałek 17 bm.

Biblioteka i czytelnia znalazły pomieszczenie w odremontowanym gruntownie lokalu, w którym dawniej mieściła się restauracja.

Kolejny z „dni chudych"

Używając określeń biblijnych należałoby Dni Filmu Polskiego, a przynajmniej te, w których pokazano nam nowe obrazy rodzimej produkcji, nazwać dniami chudymi.

Po przeciętnym „Domu bez okien" przyszedł słaby „Mój stary", po nim „Spóźnieni przechodnie" sprawiający, że zaczynamy tęsknić za... „Domem bez okien". Krytyków ogarnia melancholia i chyba tylko tęsknota za czasami, w których można było pisać o filmach polskich w superlatywach spowodowała, że jeden z recenzenckiej braci pośpieszył z obwołaniem „Spóźnionych przechodniów" za utwór wybitny, ba, niemal arcydzieło. No cóż, na bezrybiu i rak ryba, ale w tym wypadku to przesada.

„Spóźnieni przechodnie" nawet na tle tegorocznej naszej produkcji filmowej wypadają przeciętnie, a w porównaniu z latami ubiegłymi wręcz słabo.

Film ten zrealizowano według 5 nowel Stanisława Dygata wchodzących (z wyjątkiem „Nauczycielki" pisanej specjalnie dla reżysera J. Rybkowskiego) w skład tomiku „Pola Elizejskie". Są to opowieści o ludziach, którzy przechodzą obok swojej szansy w życiu, doznają niepowodzeń, nie mogą lub nie potrafią zrealizować swych pragnień i marzeń. Wszystkie 5 utworów cechuje wspólny ton, podobna konstrukcja i nastrój.

Tych wspólnych cech nie udało się zachować realizatorom filmu i dlatego „Spóźnieni przechodnie" to utwór niejednolity, sprawiający wrażenie przypadkowego zlepku, będącego wynikiem różnic indywidualności i temperamentów twórczych jego autorów. Oczywiście trudno wymagać od Holoubka czy Hanuszkiewicza, by robili swoje nowelki pod jeden strychulec, ale właśnie odrębność ich talentu nie wpływa dodatnio na ogólną kompozycję filmu.

Także poziom realizacji poszczególnych części „Spóźnionych przechodniów" jest bardzo nierówny. Zdarza się nawet, że obserwować można rażące, szkolne niemal błędy. I tak np. w noweli „Czas przybliża, czas oddala" reżyserujący ją Holoubek tak jest zajęty własną grą, że pozwala W. Glińskiemu na iście teatralne szafowanie mimiką i gestem, co daje bardzo kiepski efekt. „Krąg istnienia" reżyserowany przez Andrzeja Łapickiego traci naiwnością i łatwym sentymentalizmem, w dodatku brak mu płynności, akcja jest urywana, a przejścia z jednego okresu do drugiego — zaakcentowane pośpiesznie i słabo. Nowela „Stary profesor" (reżyser Jerzy Antczak) nosi wyraźne ślady zapożyczeń szczegółów z różnych innych filmów.

Najlepiej wypadły spośród 5 nowel: „Nauczycielka" (reż. J. Rybkowski) opowieść o kobiecie, która w codziennej szarzyźnie życia zachowuje swoją indywidualność, lecz zaproszona ze względu na to właśnie na zdjęcia próbne do filmu robi z siebie kociaka — jednego z wielu — i traci przez to szanse na otrzymanie roli, oraz „Paryż 1945" (reż. Adam Hanuszkiewicz) — interesujący dialog młodej Amerykanki i Polaka, spędzających noc w paryskim hotelu. Wprawdzie krytyka warszawska stwierdza, że telewizyjna adaptacja tej noweli (robiona także przez Hanuszkiewicza) była lepsza niż filmowa to jednak my — pozbawieni możliwości takiej konfrontacji — możemy brać pod uwagę tylko film, a tu w porównaniu z innymi nowelami ta jest lepsza i reżysersko, i aktorsko (bardzo ciekawa kreacja Lidii Korsak).

W sumie jednak powodów do zachwytu nie ma i nie pozostaje nam nic innego jak oczekiwać na ostatnia premierę DFP — „Jadą goście jadą". Ale to ma być komedia, a w tej dziedzinie od dawna już nie możemy jakoś odnieść sukcesu.

WITOLD SZYMCZYK

Wrześniowe przypomnienia

Brunatna mgła

Wilhelm II, cesarz niemiecki, od kilku już lat przebywał w swej posiadłości w Holandii, gdy na murach trzech twierdz nadodrzańskich wywieszono cesarskie, czarno-biało-czerwone sztandary. 30 września 1923 roku mjr Ernest Buchrucker na czele oddziału liczącego 600 ludzi, zajął fortece Gorgast, Tschernow oraz Saepzig i w taki właśnie sposób manifestował swe przywiązanie do dynastii Hohenzolernów. Był to jeszcze jeden z wielu puczów, jakie wstrząsały wątłymi fundamentami republiki weimarskiej.

Ten zresztą opanowano bardzo szybko. Na rozkaz ministra Reichswehry, gen. Hansa v. Seeckta, dowódca kostrzyńskiego okręgu wojskowego, płk Fedor v. Bock, w ciągu zaledwie kilkunastu godzin stłumił niewczesną akcję Buchruckera. Trybunał Wojskowy w Berlinie skazał potem niefortunnego majora na karę 10 lat więzienia. Dlaczego tym razem tak energicznie wystąpiły władze centralne? Przecież działalność monarchistycznie nastrojonego Buchruckera nie miała poważnego charakteru. Otóż ówczesny rząd niemiecki, grawitujący ku prawicy, zdawał sobie sprawę, że kostrzyńska manifestacja mogła wywołać międzynarodowe reperkusje, a żadnych szans powodzenia nie miała.

Podobnie też nie stawiano wówczas na Hitlera, będącego dopiero u progu swej kariery. Po monachijskim puczu lokalny rząd bawarski nie potraktował go co prawda specjalnie wrogo. Przyszły „wódz" otrzymał wyrok, skazujący na 5 lat więzienia. W twierdzy Landsberg przebywał jednak tylko 9 miesięcy, gdyż skorzystał z amnestii. Po wypadkach 1924 roku, po opublikowaniu „Mein Kampf" i po opuszczeniu więziennej celi, Hitler znalazł płaszczyznę porozumienia z oligarchią przemysłową i z finansjerą. Temu poparciu zawdzięczał też późniejsze sukcesy. Współpraca zbrodniarzy w brunatnych koszulach z wytwornymi panami we frakach dobrze owocowała...

Wydarzenia te składają się na treść książki doc. Franciszka Ryszki *). Znany historyk jest autorem pierwszej u nas publikacji, tak wyczerpująco omawiającej dzieje hitleryzmu. Praca ta oparta na solidnym materiale źródłowym, jest tak komunikatywna, iż przyciągnie każdego czytelnika, niezależnie od stopnia zorientowania w najnowszej historii.

Kulisy aneksji Austrii, Czechosłowacji, okręgu Kłajpedy, przygotowania do agresji na Polskę i przebieg II wojny światowej — ten ciąg historycznych wypadków obserwujemy w książce w korelacji z działaniami rozgrywającymi się wewnątrz hitlerowskiego aparatu władzy. Plastycznie rysują się więc sylwetki dostojników III Rzeszy — tych najbardziej znanych, ale też i tych, którzy przez całe lata z ukrycia kierowali mechanizmem politycznego życia. Niemiec. Do nich należy choćby szef Kancelarii Rzeszy Otto Meissner, szara eminencja systemu. Po wojnie swoje pamiętniki zatytułował on następująco: „Sekretarz stanu za Eberta, Hindenburga i Hitlera". Pod rządami tych trzech ludzi odgrywał przecież rolę równie doniosłą.

Do spraw zakulisowych należą też rozgrywki w NSDAP. Stosunki pomiędzy Hitlerem a Gregorem i Ottonem Strasserami nigdy nie były tak napięte, jak w decydującym okresie sięgania po władzę w zimie 1932/33. Znamienne są tu tajne pertraktakcje, jakie toczyły się w Berlinie, o wejście G. Strassera do rządu gen. Schleichera — i to w randze wicekanclerza. Hitler działał jednak szybciej; miał też większe środki. Przedstawiciele wielkiego kapitału: Thyssen, Krupp vt Bohlen u. Halbach, Bosch, Schroeder, Siemens, Springorum złożyli Hindenburgowi petycję, w której prosili prezydenta o mianowanie kanclerzem Adolfa Hitlera. W styczniu 1933 roku utworzył on rząd i datę tę można uważać za rozpoczynającą dwunastoletni okres hitlerowskiego terroru.

W tych przełomowych dniach Schleicher usiłował wygrać argument „polskiego niebezpieczeństwa". Mówiono więc o rzekomych przygotowaniach do ataku na Prusy Wschodnie. Był to oczywisty absurd, ale i w tej kwestii udało się Hitlerowi przelicytować rywala. Wydał on bowiem rozkaz błyskawicznej mobilizacji bojówek SA w rejonach pogranicznych dla odparcia ewentualnej agresji. Hindenburg wyraził mu wdzięczność za taką postawę.

Chwilami może się wydawać, iż czytamy nie opowiadanie historyczne — jak skromnie określił autor swą książkę w posłowiu — lecz pasjonującą wersję kryminalno-sensacyjnej afery. Taka już bowiem była specyfika dziejów hitleryzmu. Niestety jednak tragiczne cyfry, mówiące o skutkach tego panowania, zwracają nam uwagę na złowrogą skalę problemu. I wciąż należy podczas tej lektury pamiętać, że jedynie pełna mobilizacja wszystkich sił postępu, że tylko ogromny wysiłek wielu narodów — mogły zapobiec straszliwej katastrofie.

STANISŁAW LEWICKI

*) Franciszek Ryszka „Noc i mgła". Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1962, str. 419, zł 25.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: redaktor naczelny 4775, zastępca redaktora naczelnego 4618 zespół redakcyjny 2056, 2057 — wewn. 198